ECHO SZEPTÓW

WIDMA SUWALSZCZYZNY

KATARZYNA KUŚMIERCZYK

ECHO SZEPTÓW

JEGLINISZKI, KWIECIEŃ 2025

© Copyright by Katarzyna Kuśmierczyk

Grafika na okładce:
Katarzyna Kuśmierczyk z wykorzystaniem AI

Wydawnictwo:
KDSystem
wydawnictwo@kdsystem.com.pl

Korekta:
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Skład i przygotowanie do druku:
Adrian Szatkowski

Druk i oprawa:
Sowa sp. z o.o.
ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno
www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-971627-5-4

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane
w powieści są fikcyjne.

Mojemu Synowi i Mężowi,
którzy wspierają mnie bezwarunkowo
i bez których nie byłabym tu,
gdzie teraz jestem.

PROLOG

Puszcza Augustowska – okolice Dowspudy

21 dzień ugornika

Anno Domini 1283

BOŻECIECHA

Prolog

Bożeciecha obmyła spoconą twarz, starannie zaplotła siwe kosmyki i zawiązała bieluśką chustkę. Dzisiejszy dzionek i nocka miały być wyjątkowe, więc i wygląd winien przystawać do tak podniosłych okoliczności.

Rankiem, skoro tylko słonko pozłociło liście, poszła pod las zioła zbierać. Mokosz szczodrze obdarzyła latosi, ziela wyrosły dorodne, bujne, a pachniały tak, że aż się w głowie zawracało. Bożeciecha kładła kolejne naręcza na płachcie: żółte bukiety dziewanny, dziurawca i ruty, białe koszyczki czarnego bzu, rumianu i bagna, fioletowe kulki łopianu i szałwii, a tuż obok zieleniły się listki mięty, piołunu, gałązki leszczyny i bylicy.

Była wielce zadowolona z takich zbiorów, ledwie płachtą kośbę objęła i miała wszystko czego jej było potrza. Zanim rozwiesiła ziele w chałupie, z namysłem wybrała sporą garść roślin. Na plecionkę za stara już była, ale tej kupalnicy nie tylko ogniska miały zapłonąć.

Reszta dnia upłynęła kobiecie spokojnie. Powiązała guzły na szczypiorze, okopała kapustę, ale myślami była daleko. Kilka ostatnich tygodni szykowała się do tego, co dziś zadziać się miało, więc i na robocie skupić jej się było trudno. Ciągle biła się z myślami, czy też i słusznie czyni. Modliła się, żeby pradawni bogowie obdarzyli ją swoją mądrością i poprowadzili właściwą ścieżką. Ale im dłużej szukała rozwiązania, tym bardziej była pewna, że to jedyna droga. I chociaż serce pękało jej z bólu, innego wyjścia nie było!

* * *

Pojawienie się Domagoja zbiegło się z zaginięciem starego batiuszki. Nikt nie wiedział, co się stało z dobrodusznym, siwym staruszkiem, który kochał swoją trzódkę, przymykając oczy na bałwochwalcze ciągoty wiernych, a nierzadko sam w nich uczestnicząc. Któregoś dnia wyszedł zebrać miód z leśnych barci i dopiero kiedy nie zjawił się na pawieczernicy, zaniepokojona wieś gromadnie ruszyła na poszukiwania.

Nie baczyli: prawosławni czy katolicy, starzyk czy młódka, zwartą ławą przeczesywali okolicę. Następnego ranka znaleźli zakrwawioną kapotę i potłuczone gliniaki całe lepkie od miodu. Parafia pogrążyła się w żałobie, uznając, że to polująca w okolicy wilcza wataha dopadła kapłana.

Nie zdążyli jeszcze opłakać otca, ani modlitwy za jego ducha odmówić, kiedy magicznym zrządzeniem losu zjawił się Domagoj. Postawny mężczyzna w sile wieku, z drewnianym krzyżem na piersiach, w zakurzonej sutannie, z bosymi stopami i sękatym kosturem w ręku, wstąpił w progi osady, prosząc o gościnę i szukając cudownej cerkwi.

Przybyszem okazał się głoszący słowo Boże mnich świętobliwy, wracający z pielgrzymki do Ziemi Świętej. W swej nabożnej wędrówce kierował się na Daleki Wschód, ale od dwóch nocy nieustannie śniła mu się stara cerkiew skryta w puszczy i błagalny głos starca, żeby zawrócił z drogi i ocalił jego wspólnotę przed złem, co czaiło się w okolicy. Cóż to było za zło? Tego nie umiał powiedzieć, ale prawił, że to nie wilki pożarły kapłana, jeno sługi samego szatana rozpanoszyły się w puszczy i czyhają na niewinne, chrześcijańskie dusze.

Jakby na potwierdzenie jego słów, jeszcze tego wieczora, zaginęła kobiecina, która na grzyby się wyprawiła. Po niej też ostał się ino wiklinowy kosz i poplamiona juchą chusta.

Kto żyw padł na kolana przed człekiem świątobliwym, błagając, coby ich nie ostawiał na pastwę złego ducha i został w osadzie, obejmując probostwo.

Domagoj najsampierw odżegnywał się od tej myśli, krygował, że nie jest godzien takiego zaszczytu, coś o niepełnych święceniach przebąkiwał, ale ujęty prośbami strwożonych wieśniaków, ostatecznie wysłuchał ich wołania i ostał się w osieroconej cerkwi.

Tego samego dnia w Puszczy Augustowskiej zamieszkało prawdziwe, pierwotne zło…

* * *

Tylko stara Bożeciecha nie dała nabrać się na gładkie słówka tego obłudnika. Nie zwiodły jej uduchowione modlitwy, klepane z głowy fragmenty Biblii ani gorliwość w wykonywaniu posługi.

Patrzyła w ciemne jak smoła oczy swojego kapłana i widziała w nich nieprzepastny mrok i zło. Ta twarz prostego chłopa, porośnięta gęstą, czarną brodą, z wydatną szczęką, szczeciniastymi brwiami i szerokimi, mięsistymi ustami, budziła w niej odrazę i bezbrzeżny strach.

Kiedy spoglądał na nią, czuła jakby oślizgłe macki wdzierały się w głąb jej duszy, wysysając całą radość, dobro i odbierając nadzieję. A i ludzie podświadomie czuć to musieli, bo z nabożeństw wychodzili przygaszeni, bardziej zmęczeni, skorzy do gardłowania i bitki. Tylko nikt nie wiązał tej swojej złości i niemocy z nowym kapłanem, a nawet przeciwnie, ich początkowy zachwyt świętym

człekiem, przerodził się w lokalny kult Domagoja, który z każdym dniem zdawał się rosnąć w siłę.

Zaginięcia chwilowo ustały, jednak powracały co jakiś czas i to z przerażającą regularnością, której poza Bożeciechą nikt nie zauważał.

W co trzeci nów od dnia, kiedy przepadł batiuszka, ginęła jakaś młódka lub dziecko. Nie starzyk, nie mąż, ino te najbardziej niewinne i bezbronne, rozpływały się w puszczy bez śladu. Teraz już nawet kapoty, ni koszyki po nich nie zostawały.

Po każdym takim zniknięciu Domagoj leżał krzyżem przed ikonostasem, modląc się gorliwie i błagając o pomoc w ochronie wspólnoty, zaś miejscowi głęboko wierzyli, że tylko dzięki jego sile i wstawiennictwu, złe trzymane jest w karbach i boi się podejść bliżej i otwarcie zaatakować osadę.

Ale było coś jeszcze, co zdawało się całkowicie umykać gromadzie, jakby ktoś na całą wieś klątwę ślepoty rzucił. Każde nabożeństwo odprawione przez nowego kapłana powoli unicestwiało świętą aurę tego miejsca. W opromienionej niegdyś miłością Bożą, radością i spokojem cerkwi, czaiło się coraz więcej mroku i niegodziwości. Oćma oblepiała belki, ściany i podłogi, haftowane ruczniki szarzały i pruły się na krajach, a obrazy świętych pstrzyły muchy i zasnuwały sieci pajęcze.

Bożeciecha spoglądała na kumów i dziwowała się, że ino ona dostrzega to spustoszenie. Onegdaj próbowała o tym rozmawiać z sąsiadami, ale napotkała jeno bezrozumne spojrzenia i ścianę złości, że knuje przeciwko ich stróżowi i zbawcy. Od tamtej pory mocniej zaciskała usta, ale i baczniej obserwowała mnicha.

Zauważyła, że kiedy znikali ludzie, Domagoj zawsze był w puszczy. Wiernym tłumaczył, że chodzi w święte miejsca pościć,

umartwiać się i rozmawiać ze stwórcą. Ale kiedy wracał nie wyglądał jak pokutnik, lico miał zarumienione, ślepia błyszczące niczym rozżarzone węgle, a w kącikach ust błąkał się plugawy, nikczemny uśmieszek. W tym samym czasie we wsi zaczynały się poszukiwania zaginionych pobratymców, a zaraz potem płacz i żałoba.

Kiedy nadchodził ostatni nów Bożeciecha poszła za nim w las, ale gdzie jej tam do silnego, umięśnionego chłopa, stara już była i niemal natychmiast zgubiła go wśród gąszczu drzew. Wróciła więc do cerkwi i nie niepokojona przez nikogo, oczyściła ołtarz, poobcierała święte obrazy, poprała i pocerowała ruczniki. Jakież było jej zdziwienie, gdy wraz z nadejściem świtu zaś wszystko poszarzało i pokryło się kurzem.

Ale coś jeszcze zmieniło się w pomieszczeniu. Do tej pory dominowała woń jedliny zmieszana z balsamicznym aromatem ziół i kadzidła, teraz przebijał się przez nie zupełnie inny zapach. Zatęchły fetor odbierający nadzieję i budzący odrazę… Zapach śmierci.

* * *

Bożeciecha nie znała innego świata, od zawsze żyła w puszczy. W pradawnym borze przyszła na świat jej matka, babka, prababka… Jej ród związał się z tą ziemią na długo przed tym, nim dotarli tu ludzie z krzyżami, paląc posągi Świętowita i zakazując czcić Peruna.

Nie walczyły z nimi. Nie mogły i nie chciały, nie do tego zostały powołane. Miały służyć ludziom i chronić Święte Miejsce, a właściwie to, co je uświęcało – Dolę!

A Dola była źródliskiem dobra i zła. W jej wnętrzu buzowała potężna energia wszechświata, kłębiąc się i mieszając, a czasem tętniąc światłem tak wielkim, że cała okolica jaśniała srebrzystą poświatą. Ten potężny artefakt pradawni bogowie powierzyli w ochronę kobietom jej rodu, wiedunkom o otwartym umyśle i wielkiej mocy. Miały go strzec jak źrenicy oka, nawet za cenę swojego życia, a wiedzę z pokolenia na pokolenie przekazywać tylko jednej wybranej.

Dola była kapryśna, ani zła, ani dobra, cyrkulował w niej wszystek rodzaj sił, energii i namiętności, tych boskich i tych ludzkich. I w zależności od tego w jakim miejscu świata łączyła się z ziemią i kto nad nią pieczę sprawował, taką kreowała rzeczywistość. Mogła nieść ludziom pokój, dostatek i bogactwo lub pomór, powietrze, morze krwi i nienawiści…

Przez wieki spoczywała u stóp posągu Świętowita, ludzie zaś przybywali z dalekich stron, błagając o wspomożenie, oddając cześć Doli i obdarzając ją obfitymi darami dziękczynnymi. Ale kiedy nadeszły czasy krzyża, trza było dobrze ją ukryć, tak aby nie wpadła w niepowołane ręce, a dalej chroniła lud, który miał przed nią respekt i uszanowanie, a żyjąc w zgodzie z naturą i miłością w sercu, pokój światu zapewniał.

Kiedy rozpoczęto budowę cerkwi, praprzodkini Bożeciechy, Wszemiła, Dolę skryła pod jej podłogą, chroniąc zaklęciem potężnym, od bogów pochodzącym, którego żaden człowiek, ni siła nieczysta złamać nie mogła.

Tylko ona lub jej krew, z własnej i nieprzymuszonej woli, mogła Dolę wydobyć, a póki cerkiew stojała, póty nikt inny dostępu do niej nie miał.

Bożeciecha nie wiedziała, czym naprawdę jest Domagoj i skąd wie o nałożonej ochronie, ale była pewna, że w pełni jest świadom

działania czaru. To dlatego plugawił i bezcześcił to święte miejsce, aby cerkiew w ruinę popadła i w proch się obróciła. Tylko wtedy mógł Dolę wydobyć i przeciw ludziom ją obrócić. A żeby siłę niszczycielską spotęgować i przyspieszyć rozkład, w co trzeci nów krwią niewinnych się raczył, a w ludzi pobożnych jad nienawiści sączył…

* * *

Bożeciecha skończyła modlitwy i spojrzała w niebo. Dobrze pod wieczór już było i ani chybi obchody Kupalnicy trwały w najlepsze. Jakby na potwierdzenie jej myśli z oddali dobiegł głos kobiecy:

– Gdy słoneczko zajdzie, czas dziewczęta w taniec! Niechaj się rozgwarzy, wesoły śpiewaniec… – niosło się po polanie.

Przywdziała czystą, prostą, haftowaną suknię, na szyję założyła talizman z piór ptasich, a do pasa przypięła sakiewkę z ziołami. Była gotowa na spotkanie z przeznaczeniem.

Wprzódy poszła do bawiących się ludzi. Młodzi śpiewali i kręcili się w koło. Dziewczyny wirowały, aż im spódnice furkotały w tańcu. Każda na głowie wianek z ziół dziewięciu miała, zaróżowione, szczęśliwe, zerkające zalotnie na swoich partnerów. Młodzieńcy skakali przez ogniska, a co śmielsi próbowali ciągać dziewuchy do lasu, niby kwiatu paproci szukać. Stoły obficie zastawiano mięsiwem, serami, owocami, chlebem, piwem i miodem. A śmiechom, przekomarzaniom i przepijaniom nie było końca.

Starszyzna osady zasiadła w miejscu górującym nad okolicą, skąd mieli baczenie na rozbrykaną młodzież, a i ognisko przy

którym się zgromadzili było znacznie pokaźniejsze i bardziej strzeliste niźli te w dolinie. Szepcząc w skupieniu, wpatrywali się w ogień, co i rusz dorzucając ziół ze specjalnie przygotowanych koszy, a wtedy płomień mienił się wszystkimi odcieniami barw, strzelając iskrami aż po samo niebo.

To tam swoje kroki kierowała Bożeciecha. Witając się z rozbawioną gawiedzią, podążała na szczyt, cały czas bacząc na starzyków i próbując dojrzeć czy wśród gromady zasiada Domagoj. Była w połowie drogi, kiedy go dostrzegła. Siedział rozparty i pewny siebie, pełniąc rolę mistrza ceremonii. Za chwilę miał się rozpocząć jeden z najważniejszych rytuałów roku, zaślubiny ognia i wody. Słońce i księżyc połączą się w jedno, tak jak łączy się niewiasta i mąż, przynosząc płodność, dostatek i harmonię świętującym.

Kobieta zatrzymała się w pół kroku, nie była pewna, czy ktoś dostrzegł jej nieobecność, powinna siedzieć w tym kręgu wraz z całą starszyzną, ale tym razem zależało jej tylko na sprawdzeniu czy mnich nie przeszkodzi jej w jej obrządku, chociaż wiedziała, że zanim skończy, Domagoj zjawi się w cerkwi, żeby ją jeszcze bardziej splugawić. Nie była pewna, jak będzie chciał to zrobić, może upije miodem jakąś młódkę, ale dzisiejsza noc miała moc ogromną, i tę twórczą, i tę niszczycielską.

Ile sił w starym ciele, zbiegła z górki i przez nikogo niezauważona cicho podeszła do cerkwi. Już rankiem przygotowała gliniaki z olejem i solą. Teraz, mrucząc pod nosem zaklęcia, obeszła świątynię dookoła, dokładnie oblewając fundamenty złotobrunatnym płynem. Kiedy skończyła, jeszcze raz obeszła krąg, rzucając zaszeptane zioła, a na koniec wyniosła krzyż i obraz Mateńki, i zawinąwszy je w czysty rucznik schowała w pobliskich krzakach. Teraz pozostało już tylko czekać…

* * *

Mężczyzna pojawił się szybciej niż myślała, widać niecierpliwość wielka w nim była. Na rękach niósł nieprzytomną dziewczynę. Wianek zsunął się jej z głowy, suknia rozdarła odsłaniając białe udo, a złocisty warkocz zaczepiał o krzaki. Bożeciesze serce ścisnęło się z żalu, toż to córa Jaromiry! Że też i na nią popaść musiało!

Jeszcze mocniej zwarła pięści i poczęła szeptać. Na początku wolno, z namysłem, a potem słowa same płynęły z jej ust, układając się w śpiewne, rytmiczne, passusy. Nawet jakby kto stanął koło niej, wyrazów by nie rozpoznał. Brzmiały gardłowo, twardo i mocno. Mimo że wypowiadane najcichszym szeptem, cięły powietrze niosąc siłę i paląc do żywego. Bożeciecha przymknęła oczy, nie były jej już potrzebne, teraz wszystko widziała w swoim umyśle i wiedziała, że nie jest sama. Niemal czuła na ramionach siłę i wsparcie bogów, a z każdym słowem przybywało jej mocy. Mogła zaczynać!

Kiedy tylko Domagoj zniknął w drzwiach świątyni po cichaczu zawarła ją kołkiem i nakreśliła znak tajemny. Szybko wykrzesała ogień i jegdy tylko iskra spadła na magiczny krąg, natychmiast rozpalił się on rubinową barwą, obejmując ściany cerkwi, strzelając ponad jej kopułę i wieńczący krzyż.

Nie spojrzała, co mnich robił z dziewczyną, chociaż serce jej krwawiło, nie mogła uratować Rosławy. To ofiara, której nie chciała, ale jej żywot był nieistotny wobec nadciągającej tragedii, jaka miała spotkać ich wszystkich, gdyby tylko plan Domagoja się powiódł.

Wzdrygnęła się, kiedy z wnętrza budynku dobiegło opętańcze wycie. Przejmujące, jazgotliwe, brzmiące jak skowyt zranionego

zwierza. Żaden człek nie mógłby z siebie czegoś takiego wydusić. Towarzyszył mu przerażony, nawołujący pomocy, głos dziewczęcia, który ranił jej duszę i uszy.

Bożeciecha przełknęła łzy spływające do gardła i zaczęła mruczeć głośniej. Teraz każde jej słowo niosło się echem po okolicy, hucząc niby spadające z gór kamienie. Ziemia zatrzęsła się, a bezchmurne niebo przeciął fioletowy piorun, uderzając tuż przy wejściu do świątyni i zostawiając po sobie spopielałą szczelinę. Jeszcze chwilę słychać było łomot i wrzaski dochodzące z cerkwi, a potem, w miejscu uderzenia gromu, grunt począł rozstępować się, ukazując bezdenne czeluści z bulgoczącą czarno-czerwoną mazią strzelającą wkoło ognistymi iskrami.

Przez moment nic się nie działo, jakby wszystko zastygło w bezruchu i czas stanął w miejscu, a w następnej sekundzie świątynia z cichym trzaskiem poczęła osuwać się w powstałą otchłań. Ziemia stęknęła boleśnie, cerkwi nie było już widać, a grunt ciągle obsuwał się w dół, jakby chciał wessać całą okolicę.

Przerażona kobieta patrzyła na ten piekielny spektakl i modliła się, żeby dobrzy bogowie ocalili jej wieś. Powoli docierały do niej wszystkie szczegóły rozgrywającej się sceny, wiedziała, że za chwilę nadejdzie moment, na który czekała. Kiedy do jej uszu doszło ciche mlaśnięcie, wiedziała, że już czas. Po świątyni nie było śladu, a w jej miejscu utworzył się głęboki, owalny lej. Musiała dobrze wytężyć wzrok, żeby dostrzec to, czego szukała. Na samym dnie czarnej, parującej ziemi, leżał biały, niepozorny otoczak, niewiele większy od pięści drobnej niewiasty. Spod niego wysączała się brunatna woda i z wolna pokrywała bulgoczące wyziewy.

To była Dola! Bożeciecha błyskawicznie zsunęła się w głąb krateru. Patrząc na nią, nikt nie powiedziałby, że rano ledwie

prostowała stare kości. Niczym młódka pomykała po nierównej ziemi, chyciła kamień i schowała go za pazuchę. Kiedy wspinała się do góry czuła jak Dola zaczyna żarzyć się i pulsować, zupełnie jakby jej stare ciało było dla niej źródłem zasilania.

Dysząc ciężko, usiadła na kraju urwiska i spojrzała w dół. Mętna, niemal czarna woda podchodziła coraz szybciej. Wyglądała jak martwa, niczym zło, które pochłonęła. Wzdrygnęła się, kiedy usłyszała bicie dzwonów dochodzących z tej mrocznej, złowieszczej toni.

Musiała natychmiast ruszać! Zaraz zbiegną się tu ludzie z osady. Nie mogła pozwolić, żeby ją tu znaleźli. A zresztą wykonała dopiero połowę zadania…

CZĘŚĆ PIERWSZA

Suwalszczyzna,
styczeń, współcześnie

MIŁOSŁAWA

Rozdział I

Miłka beznamiętnie patrzyła na krajobraz znikający za zaparowanym oknem pociągu. Przesuwał się coraz szybciej, niczym film na przyspieszonym podglądzie. Zupełnie jak ostatnie miesiące jej życia. Kiedy próbowała je odtworzyć, okazywało się, że luk jest tak wiele, iż nie da się z nich zbudować spójnego obrazu.

Z jej piersi wyrwało się niekontrolowane westchnienie ulgi, kiedy minęła tablicę „Katowice" przyprószoną szarym śniegiem. Jeszcze nie czuła się wolna, ale wiedziała, że to pierwszy krok do samostanowienia i wyborów, za które tylko ona będzie ponosiła odpowiedzialność.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze ktoś za nią decydował.

Najpierw rodzice, stawiając poprzeczkę tak wysoko, że z trudem pokonywała kolejne etapy ich oczekiwań. Kiedy inne dzieci bawiły się beztrosko na podwórku i oglądały bajki, grafik małej Miłosławy ledwie się spinał. Każdy dzień miała wypełniony po brzegi: treningi, balet, język angielski, lekcja gry na pianinie i dwie lektury wyznaczone przez mamę, które musiała przeczytać w ciągu tygodnia, to była jej codzienność. Czasem czuła się tak zmęczona, że zasypiała w samochodzie, kiedy kierowca ojca wiózł ją na kolejne zajęcia. Zawsze musiała być perfekcyjna i lepsza od innych. Nieustannie próbowała spełniać pokładane w niej oczekiwania, ale nawet ukończenie studiów z trzecią lokatą nie zaspokoiło aspiracji rodziców.

Czasami miała wrażenie, że realizuje ambicje i marzenia matki, która pomimo iż od trzydziestu jeden lat mieszkała

w Katowicach, nadal delikatnie zaciągała po suwalsku i wstydziła się, że pochodzi z małej, zapomnianej przez Boga i ludzi wioski. Jej matka była piękną, zadbaną kobietą, nikt nie powiedziałby, że kończy w tym roku pięćdziesiątkę, ale to właśnie uroda stała się jej największym atutem i przekleństwem. Przed laty spakowała plecak i nie oglądając się za siebie, uciekła jak najdalej mogła. Była przeszczęśliwa, gdy dostała się na pedagogikę na Uniwersytecie Śląskim. Wybrała Katowice, bo od rodzinnego domu były jeszcze dalej niż Warszawa, a i jawiły się jej jako miasto tysiąca możliwości. Miasto oferowało nie tylko studia, ale szansę na pracę, korzystanie z akademika i wysokie stypendia socjalne.

Jednak los, zamiast wymarzonego dyplomu wyższej uczelni, postawił na jej drodze młodego, przystojnego inżyniera. Nie skończyła nawet trzeciego roku, kiedy na świecie pojawiła się Miłosława, a ona już na zawsze utknęła w okazałej willi z gosposią i ciągle nieobecnym mężem – dyrektorem jednej z największych kopalni na Śląsku. Wtedy postanowiła, że jej córka zostanie „kimś" i konsekwentnie do tego dążyła, nie licząc się ani z marzeniami Miłki, ani z jej możliwościami.

Miłosława poznała Leszka na jednym ze służbowych bankietów urządzanych przez rodziców, on również był dobrze rokującym inżynierem górnictwa i jednym z ulubieńców jej ojca. Do dziś nie wie czy wtedy naprawdę się w nim zakochała, czy też wyszła za niego tylko dlatego, żeby zrobić na złość matce i wyrwać się z domu, ale już po trzech miesiącach znajomości, wzięli huczny ślub w kościele Świętej Anny.

Na pewno na początku była z nim bardzo szczęśliwa, mimo że od tamtej pory to on decydował, co jadła, w co się ubierała

i z kim spotykała. Koleżanki twierdziły, że jest zaborczy i ją ogranicza, ona śmiała się tylko, mówiąc, że lubi, kiedy ktoś się nią opiekuje.

Teraz to wszystko wydawało się Miłce z wolna niknącym echem. Czas, kiedy urządzali mieszkanie, patrzenie w gwiazdy, bliskość, plany, marzenia, małe i większe kłótnie, aż wreszcie ostatni wspólny wieczór… ciągle tkwiły w jej pamięci, ale powoli blakły, tracąc kontury, wspomnienie smaków i zapachów. Rozmywały się niczym obrazek malowany akwarelkami na rzęsistej ulewie. Nawet ulubiony sweter Leszka dawno stracił jego zapach.

Trzysta metrów do życia. A właściwie to nawet dwieście dziewięćdziesiąt. Czy tylko tyle zabrakło, żeby była szczęśliwa w Katowicach? A może nigdy nie byłaby w nich naprawdę szczęśliwa? Wstrząs był tak silny, że zadźwięczały szyby w pobliskich domach, a zawał odciął Leszka od świata.

To był jeden z ostatnich dni, jakie miał spędzić pod ziemią. Miłka nienawidziła, kiedy zjeżdżał na dół, wyprosiła więc u ojca, żeby przeniósł go do pracy w administracji. Na początku Leszek absolutnie nie chciał o tym słyszeć, ale po raz pierwszy postawiła na swoim, chyba nawet wzruszyła go jej troska. Do urzeczywistnienia ich planu zabrakło trzech dni i dwustu dziewięćdziesięciu metrów.

Kolejne tąpnięcie pogrzebało jej dotychczasowe życie i męża. Wydobyli go dopiero po trzech tygodniach i nie pozwolili się nawet z nim pożegnać.

Przez kolejne miesiące odrętwiała z bólu, pełna poczucia winy zastanawiała się, czy dwieście dziewięćdziesiąt metrów to dużo, czy mało? A potem nie słuchając rad rodziców, znajomych

i psychologów, sprzedała samochód, działkę pod lasem, mieszkanie wraz z całą zawartością i kupiła bilet do Suwałk.

W pracy nikt nie protestował, kiedy przyniosła podanie o rozwiązanie umowy za porozumieniem stron ze skutkiem natychmiastowym. I tak, od czterech miesięcy, przebywała na zwolnieniu od psychiatry. Kto żałowałby takiego pracownika?

Mimo że wszyscy odradzali jej podejmowanie decyzji pod wpływem emocji, miała wrażenie, że odetchnęli z ulgą na wieść, że przestanie ich kłuć swoją zbolałą miną, zaczerwienionymi od płaczu oczami i otępieniem po kolejnych antydepresantach.

Nie była już perfekcyjna i modelowa. Stała się uciążliwa, jak chwilowa, wstydliwa niedogodność, na którą nie można nic poradzić, a pozbyć się jej nie wypada. Nawet matka przestała do niej wydzwaniać, z lekkim zażenowaniem przyjmując do wiadomości, że po raz kolejny Miłka nie spełniła jej oczekiwań.

Teraz patrząc, jak znika świat, który znienawidziła, czuła jedynie ulgę. Żadnego żalu, wahania czy niepewności. Otaczał ją spokój i wiara, że w końcu robi coś, na co sama ma ochotę.

Miała dwadzieścia osiem lat, zasobne konto w banku, dwie walizki, a do piersi przyciskała stary album wypełniony zdjęciami z czasów dzieciństwa, kiedy jeszcze była naprawdę bezwarunkowo szczęśliwa. Jedyną rzecz, jaką zabrała ze starego życia.

Na początek musiało wystarczyć.

Rozdział II

Nie tak sobie wyobrażała pierwszy przystanek swojego nowego życia. Pociąg Warszawa Centralna – Suwałki utknął w zaspach tuż przed stacją docelową.

Miłka nie pamięta, kiedy widziała taką ilość śniegu i ogromne sople zwisające ze zlodowaciałych dachów. Sprawdziła pogodę, zgodnie z lokalizacją komórki, aplikacja wskazywała dziewięć stopni na minusie. Wzdrygnęła się na samą myśl, że o tej porze roku, w tym regionie, to normalna temperatura i przynajmniej przez jakiś czas będzie musiała się z nią mierzyć.

Nie pamiętała dokładnie, kiedy ostatni raz była na Suwalszczyźnie. Musiała mieć raptem kilka lat, bo jak przez mgłę przypominała sobie fragmenty awantury w domu babci. Mama krzyczała, że nie da zmarnować życia, ani sobie, ani Miłce, i że więcej jej noga nie postanie w tym przeklętym domu. Z jej mglistych wspomnień wyłaniał się też obraz dobrotliwej staruszki, która ze łzami w oczach błagała, żeby nie zabierać jej małej Olgi. Potem już tylko głośne trzaśnięcie drzwi i świdrujący, egzaltowany ton matki, która przez niemal całą drogę do Katowic powtarzała, że to był ostatni raz, gdy *stara wariatka widziała wnuczkę*.

Nigdy więcej nie zobaczyła babci. Kiedy tylko wspominała, że chce ją odwiedzić, matka dostawała spazmów kończących się wielogodzinnymi migrenami, a ojciec zza okularów spoglądał na nią z niemym wyrzutem. Z czasem przestała pytać. Nawet o to, dlaczego nestorka rodu nazywała ją Olgą.

Kiedy świat się zawalił, myśl o babci była pierwszą, jaka przyszła jej do głowy. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że ciągnie ją do korzeni i wbrew kategorycznym zakazom musi tam w końcu pojechać. Matka dawno straciła nad nią władzę, zresztą nawet nie zamierzała jej informować, gdzie się wybiera. Mimo wielotygodniowego odrętwienia, poczuła coś na kształt przekornej radości, że po raz pierwszy, w pełni świadomie, złamie zasady i zrobi coś, co od zawsze było jej zakazane.

Oględnie poinformowała rodziców, że sprzedała cały majątek i chce zacząć od nowa. W innym miejscu, z lepszą energią, rozpocząć kolejny etap swojego życia. Nie pamięta czy kiedykolwiek widziała tak rozsierdzoną matkę i tak osłupiałego ojca. W milczeniu słuchała próśb, płaczu i wyklinania rodzicielki, a kiedy tamta opadła z sił, rzuciła tylko *Dam znać, jak się urządzę* i po cichu zamknęła drzwi. Czuła jak wali jej serce i lekko drżą kolana, ale nie zamierzała im niczego tłumaczyć, tym bardziej że sama nie potrafiłaby racjonalnie wyjaśnić swoich decyzji. Podświadomie czuła, że robi dobrze. Od dłuższego czasu, coś ciągnęło ją do starego domu, do babci, poczucia bezpieczeństwa i spokoju, jaki zapamiętała z dzieciństwa.

Nie bała się spotkania ze staruszką, a wyłącznie tego, że może mieć problem z dotarciem do siedliska. Mgliste wspomnienia małej dziewczynki o lesie, rzece i drewnianej chacie, to było zbyt mało, żeby zlokalizować dom na Suwalszczyźnie. Rodzice nigdy nie rozmawiali o babci, nikt nie wymieniał ani jej imienia, ani nazwy miejscowości, w której mieszkała. Zupełnie jakby na zawsze została wymazana z ich życia i skazana na zapomnienie.

Wśród dokumentów matki próbowała odnaleźć adres, ale jedyne, do czego udało jej się dotrzeć, to zżółknięta, pognieciona

kartka wydarta z zeszytu w kratkę z odręczną adnotacją: *Konstancja Woronin, Jaśki*. Żadnego numeru posesji, kodu, telefonu. Nie była nawet pewna, czy babcia miała na imię Konstancja?

Wklepała w wyszukiwarkę „wieś Jaśki, Suwalszczyzna" i zaskoczona zapatrzyła się na wyniki podsuwane przez komputer. Kilka pierwszych linków, zamiast lokalizacji miejscowości, przekierowało ją na stronę *Uroczyska Świętego Miejsca*. Kliknęła w jeden z nich i wiedziała już, że znalazła to czego szukała.

Zdjęcie przedstawiało drewnianą kapliczkę nad brzegiem Rospudy. To było jak nagły powrót w świat dzieciństwa. Tak, jakby nagle ktoś oświetlił zepchniętą w mroki niepamięci część wspomnień. Przed oczami stanęło jej drewniane sanktuarium pełne świętych obrazów i las kapliczek maryjnych, który je otaczał. Pamiętała też rzekę, w której kąpały się z babcią i pobliskie jezioro.

Jeszcze tego samego dnia znalazła kod miejscowości i licząc, że lokalny doręczyciel zna wszystkich mieszkańców, wysłała list, że chce przyjechać.

Bezskutecznie czekała na odpowiedź, codziennie sprawdzając skrzynkę pocztową. Poczta zwrotna nie nadeszła.

* * *

Z zamyślenia wyrwało ją szarpnięcie wagonu. Po ponad trzech godzinach udrożniono tory i pociąg wolno ruszył z miejsca. Zgodnie z informacją płynącą z głośników za dziesięć minut powinni być w Suwałkach.

Była niespokojna, nie wzięła pod uwagę, że po zmroku znajdzie się w zupełnie obcym mieście. Wprawdzie dopiero dochodziła siedemnasta, ale w styczniowe popołudnia szarówka

szybko zmieniała się w atramentową czerń. Przyszło jej do głowy, że może powinna odpuścić dzisiejszą wyprawę do Jaśków i wynająć pokój w hotelu, a w dalszą drogę wyruszyć dopiero o poranku?

Mimo usilnych starań nie potrafiła znaleźć lokalnych połączeń autobusowych w Internecie, miała nadzieję, że kiedy dotrze na miejsce, ktoś powie jej, jak najlepiej dotrzeć do tej wsi. Teraz, kiedy mrok rozlał się po ulicach, czuła się niepewna i bezradna. Po raz pierwszy nie było obok niej nikogo, kto by się nią zaopiekował i podjął decyzję.

Usłyszała charakterystyczny wizg i poczuła jak pociąg zwalnia, w świetle zasypanych lamp oświetlających peron dojrzała napis „Suwałki".

Dotarła na miejsce. Zapięła płaszcz i z trudem podniosła walizki. Była gotowa na nowe życie.

* * *

Kiedy tylko rozsunęły się drzwi wagonu, uderzył ją zimny powiew wiatru, a lodowate, szczypiące powietrze wciskało się w każdą szparę, niemal do kości wychładzając rozgrzane ciepłem pociągu, ciało. Miłka głębiej nasunęła czapkę, jeszcze szczelniej otuliła się grubym szalem i ostrożnie zeszła po oblodzonych schodkach. Nie musiała się spieszyć, Suwałki były stacją końcową, pociąg wracał dopiero za kilkadziesiąt minut.

Dźwignęła ciężkie walizy i rozejrzała się uważnie. Ze zdziwieniem dostrzegła, że poza nią wysiadło raptem kilkanaście osób. Jak na zamówienie z nieba zaczęły sypać duże płatki śniegu. Z fascynacją patrzyła na biały puch wirujący w świetle latarni. Tak widowiskowej zimy dawno nie widziała.

Z trudem przebrnęła przez zasypany peron i skierowała się w stronę dużego dworca. Gmach zbudowano z czerwonej cegły i lata świetności dawno już miał za sobą. W ścianach widać było sporo ubytków, brudne okna straszyły zardzewiałymi kratami, a nad niedomykającymi i łuszczącymi się drzwiami wisiała obskurna tabliczka z nazwą miasta. Z trudem popchnęła wypaczone, ciężkie skrzydło i zastygła w zdumieniu. Ledwie oświetlone wnętrze było zupełnie puste i wyglądało jak żywcem wyjęte z lat siedemdziesiątych.

Potencjalnych podróżnych witał przedsionek oszklony miodowymi, ornamentowymi szybami, ledwie trzymającymi się w ramach ze starej sklejki. Wewnątrz było kilka wejść zamkniętych na zardzewiałe kłódki, a wszystko spajały żółto-szaro-brązowe płyty imitujące marmur. W miejscu gdzie spodziewała się znaleźć informację, przywitały ją kolejne kraty i kartka z obwieszczeniem, że kasa jest nieczynna.

Poza nią nie było tu żywego ducha. Nie oglądając się za siebie, niemal biegiem pokonała poczekalnię i z ulgą wyszła na zaśnieżony plac. Odetchnęła, widząc, że pod budynkiem stoją dwie taksówki. Ich kierowcy oparci o maskę jednego z samochodów palili papierosy, a większy tłumaczył coś zawzięcie, gestykulując przy tym żywo rękami. Byli tak zaabsorbowani dyskusją, że nawet nie zauważyli, kiedy Miłosława stanęła za ich plecami.

– Dzień dobry. – Jej głos był ledwie słyszalny.

Mężczyzna zamilkł i obaj odwrócili się w stronę przybyłej. W słabym świetle lampy nie było widać ich twarzy, ale kobieta była nieomal pewna, że malowało się na nich zaskoczenie. Tak, jakby nie spodziewali się, że z drzwi dworca może wyjść jakiś potrzebujący podwózki podróżny.

– Chciałabym dojechać do Jaśków. Który z panów jest wolny? – ciągnęła nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi na przywitanie.

– Do Jaśk nad Rospudą? – Poprawił ją grubszy, który przed chwilą opowiadał o czymś koledze, a widząc jak kiwa głową, roześmiał się rozbawiony. – Pani chyba zwariowała? Od dwóch dni zawieje takie, że główne drogi ledwie przejezdne, co i rusz komunikaty, że ktoś utknął w zaspach, a pani chce, żebym leciał trzydzieści kilometrów do jakiegoś wygwizdowa? Podziękuję za taki kurs.

Miłka słuchała zaskoczona, takiego scenariusza nie wzięła pod uwagę. Nie przyszło jej do głowy, że w Polsce mogą być miejsca, do których nie da się dojechać. W jej złotej klatce może i bywało ciasno, ale każda zachcianka była niemal natychmiast spełniana.

– Dzień dobry. A ja się chętnie przejadę – ze zdziwieniem usłyszała kobiecy głos drugiej postaci, którą w ciemności wzięła za mężczyznę. – Tylko to nie będzie tani kurs – ostrzegła. – Ale nasz klient, nasz pan. – Otworzyła drzwi auta. – Proszę siadać z przodu, szybciej się zagrzeje, bo nam pani zamarznie na tej Suwalszczyźnie.

– Oszalałaś? – Kolega próbował jej przemówić do rozumu. – Zakopiesz się!

– Moja ciotka mieszka w Jaśkach. Dzisiaj z nią rozmawiałam, wiem, że odśnieżali. Nie bój się, dojadę. – Trzasnęła drzwiami i uruchomiała auto.

Przez chwilę jechały w milczeniu, a Miłosława przyglądała się zaśnieżonym Suwałkom. Nie przypuszczała, że jest to tak duże i całkiem nowoczesne miasto. Północny wschód kojarzył jej się z drewnianymi chatami i brukowanymi ulicami, a tu samo

centrum niewiele różniło się od tego, do czego była przyzwyczajona. Mignął jej neon McDonald's i oświetlona galeria handlowa, w świetle ulicznych latarni tablice reklamowe kusiły okazjami, a zmarznięci ludzie śpieszyli do domów.

– Pani na długo? Na ferie? Do rodziny? – przerwał jej obserwacje głos zza kierownicy.

– A skąd pani wie, że nie jestem stąd? – odpowiedziała pytaniem, rozpinając płaszcz. Właścicielka auta musiała ustawić ogrzewanie na full, bo w ciągu kilku minut zrobiło się naprawdę gorąco.

– Kupiła pani bilet do Suwałk – odparła rozbawiona, jakby to wszystko tłumaczyło.

Miłka przez chwilę czekała na ciąg dalszy, ale najwyraźniej kierująca uznała, że to całkowicie wystarczająca argumentacja.

– Muszę spotkać się z dawno niewidzianą, bliską mi osobą. Jeszcze nie wiem dokładnie na jak długo zostanę, może to będzie kilka dni, a może kilka tygodni. – Westchnęła smutno, nadal nie będąc pewna czy będzie mile widzianym gościem. – Ale nie bardzo rozumiem, co mają wspólnego Suwałki z tym, że poznała pani, że jestem nietutejsza? To dokąd powinnam kupić ten bilet?

– Dużo bliżej byłoby z Augustowa, mniej by pani zapłaciła i droga trochę lepsza.

– Och, nie przypuszczałam – stropiła się Miłka. – Wiedziałam, że Jaśki leżą w powiecie suwalskim, więc jakoś tak zupełnie odruchowo wybrałam to miasto. Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić odległości – dodała zła, bo brak odpowiedniego przygotowania kosztował ją ponad trzy godziny stania na zasypanych śniegiem torach. Dawno mogła być już u babci.

– Pani niewiedza, mój zysk. – Nieznajoma znowu roześmiała się.

Miłosława dopiero teraz przyjrzała się siedzącej obok kobiecie. Musiały być w podobnym wieku, kierująca miała rude włosy obcięte na krótkiego boba, twarz w piegach, wąskie, kocie oczy, zgrabny nos i wydatne usta, które co chwilę przygryzała nerwowo. W ciemności nie mogła dostrzec koloru jej tęczówek, ale była niemal pewna, że są zielone.

– Od dawna pani jeździ taksówką? – zdziwiona usłyszała własny głos.

Od wielu tygodni odpowiadała wyłącznie na pytania, a i to nie na wszystkie. Odcięła się od świata, nie mając ochoty na żadne rozmowy, interakcje, a już na pewno sama ich nie prowokowała. Więc po co rozmawia z tą kobietą i dlaczego zadaje jej pytania?

– Właściwie to wcale nie jeżdżę. Spokojnie! – dodała szybko nieznajoma, widząc konsternację pasażerki. – Wzięłam kurs za ojca, źle się dzisiaj czuł, a taksówkę prowadzą na zmianę ze wspólnikiem. Nie chciał, żeby przepadła mu dniówka. Ale nie ma strachu, jeżdżę lepiej od nich obu. – Uśmiechnęła się lekko pod nosem. – Zresztą ma pani szczęście, że to ja dzisiaj siedzę za kółkiem. Tato w taką pogodę nie pojechałby do Jaśk, ostatnio nawet poza Suwałki nie wyjeżdża.

Przez chwilę jechały w milczeniu, a Miłosława usiłowała dojrzeć cokolwiek w coraz mocniej padającym śniegu. Wycieraczki popiskiwały, próbując zetrzeć z szyby kolejne warstwy białego puchu, ogrzewanie buczało cicho, pracując na najwyższych obrotach, a za oknem ciągnęły się nieskończone białe przestrzenie.

Śnieg skrzył się niczym diamenty, odbijając się w światłach samochodu, litościwie okrywając uschnięte badyle, śmieci leżące w rowach i wszelką brzydotę. Na drzewach namarznięta szadź tworzyła iście bajkowe wzory, a zwisające sople przypominały

drogocenne kryształy. Mijane domy otulone białymi pierzynkami, wyglądały jak chatki z bajek i tylko światła błyskające w oknach poświadczały, że mieszkają tam żywi ludzie.

Na drodze mijały je nieliczne samochody, kto nie musiał, nie wychodził z domu w taką pogodę, tym bardziej że służby drogowe nie nadążały z odśnieżaniem. Do tej pory spotkały dwa pługi śnieżne i jedną piaskarkę, a warunki pogarszały się z minuty na minutę. Komunikaty płynące z radia ostrzegały o szybkim spadku temperatury i nadciągających śnieżycach.

Droga robiła się coraz węższa i bardziej wyboista, fragmentami auto tańczyło na lodowych nierównościach, a Miłka coraz bardziej bała się, że utkną gdzieś w przydrożnych zaspach.

– Dojedziemy? – spytała z lękiem, kiedy samochód po raz kolejny zabuksował kołami w śniegu.

– Dojedziemy! – Pewność w głosie kierującej działała na nią kojąco. – Ma wysokie zawieszenie i napęd 4 × 4, to auto nie boi się takiej smarkatej zimy.

– Ale jak pani wróci? Przy tak intensywnych opadach śniegu, zasypie tę drogę w kilkanaście minut.

– Niech się pani nie przejmuje, przecież mówiłam, że mam tam ciotkę, jak trzeba będzie to zanocuję – w jej głosie nie było cienia zdenerwowania. – Zresztą już dojeżdżamy.

Przez chwilę jechały w milczeniu, uważnie obserwując drogę. Zanim Miłosława dostrzegła lampy oświetlające nieliczne domy, wiedziała, że za chwilę je zobaczy. Mimo że ostatni raz była tu ponad dwadzieścia lat temu, nie miała najmniejszego problemu z odtworzeniem topografii wioski. Szufladki pamięci otwierały się jedna za drugą, przywołując wspomnienia i wyparte obrazy, tak jakby przez cały ten czas czekały w gotowości żeby do nich zajrzeć.

– Dokąd teraz? – Kobieta przyhamowała tuż przed skrzyżowaniem.

W tym miejscu wieś rozwidlała się na dwie części, a zabudowania ciągnęły się wzdłuż drogi, tuż przy samej granicy lasu.

– W prawo – odparła bez wahania – i niemal do końca wioski. Proszę stanąć przy drodze na Uroczysko. – Widziała, jak nieznajoma spojrzała na nią zaskoczona, ale nie skomentowała miejsca, w którym chciała wysiąść pasażerka.

Jechały teraz bardzo wolno. Śnieżyca nasilała się z każdą minutą, a czujnik wskazywał, że temperatura na zewnątrz spadła do minus siedemnastu stopni. Pomimo szczelnie zamkniętych okien, słychać było zawodzenie wiatru, który próbował poruszać zlodowaciałymi gałęziami drzew.

Gdyby nie to, iż niedawno któryś z sąsiadów wyjeżdżał z posesji, ciężko byłoby im jechać dalej. Samochód wpadł w wygniecione koleiny, sunąc niczym pociąg po torach i ślizgając się w nierównych zmarzlinach, co za każdym razem towarzyszka Miłki kwitowała ledwie słyszalnym przekleństwem.

– Dalej nie pojadę, tylko tu mogę zawrócić – kobieta zatrzymała się, widząc, że ślady auta skręcają do najbliższego gospodarstwa. Potem była już tylko zawiana droga, a na jej początku niemal metrowa zaspa, najwyraźniej pług także właśnie tutaj zakończył swoją pracę. – Do miejsca, w którym pani chciała wysiąść jest jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Poradzisz sobie jakoś? To nie wygląda za dobrze, jesteś pewna, że ktoś tam na ciebie czeka? – Nagle przeszła na nieoficjalną formę komunikacji. – Tak w ogóle, to Franka jestem – wyciągnęła ciepłą, mocną rękę, którą Miłka uścisnęła nieśmiało.

– Miłosława – odpowiedziała, myśląc, że wcale nie chciała przechodzić na „ty" z tą dziwną kobietą. – Poradzę. Proszę się nie

martwić, na pewno dam sobie radę. – Powtórzyła, jakby chciała samą siebie o tym przekonać.

– Jak chcesz – westchnęła. – Tu masz moją wizytówkę. – Rozpięła Miłce kieszeń płaszcza i wsunęła do niej kremowy kartonik. – Gdybyś potrzebowała transportu, to dzwoń. Jeżeli będę mogła, przyjadę swoim autem i policzę ci tylko za benzynę, bo zbankrutujesz jeżdżąc taksówkami. – Skasowała licznik i podała jej wydruk. – A gdyby jednak nikt na ciebie nie czekał, to w drugim końcu wsi mieszka moja ciotka. Nazywa się Sabina Ostapowicz, powołaj się na mnie, a na pewno cię przenocuje.

– Dziękuję, ale nie będzie takiej potrzeby. – Miłka podała jej pieniądze i otworzyła drzwi, które wiatr natychmiast szarpnął z ogromną siłą.

Do auta wtargnęło lodowate powietrze, mrożąc oddech i zapierając jej dech w piersiach. Skuliła się i natychmiast zatrzasnęła drzwi. Franka spoglądała na nią z rozbawieniem.

– Oj, naprawdę widać, że ty nietutejsza i do naszych zim nienawykła. Ubierz się najpierw, bo nawet tych kilkuset metrów nie dasz rady pokonać.

Miłosława bez słowa zapięła płaszcz, włożyła czapkę, którą jeszcze omotała szalikiem i ponownie sięgnęła do klamki. Chociaż tym razem była przygotowana, ledwie miała siłę utrzymać drzwi. Wysiadła z auta i natychmiast po kolana zapadła się w śniegu. Poczuła jak trochę świeżego puchu wsypuje jej się do kozaków, mrożąc stopy.

W tym czasie Franka wystawiła jej walizki.

– Naprawdę muszę już jechać – z niepokojem spojrzała w stronę coraz mniej widocznych śladów. – Trzymaj się! I jakby co, dzwoń! – Trzasnęła drzwiami i niemal natychmiast wycofała auto.

Przez moment widać było jeszcze oddalające się czerwone punkciki świateł, które po chwili rozmyły się w mroku i dokładnie w tym samym momencie zgasły przydrożne latarnie. Wiatr, namarznięcia i śnieg, musiały zerwać linię przesyłową.

Miłosława wzdrygnęła się, przed chwilą czuła jedynie przeszywający chłód, teraz ogarnął ją także dojmujący lęk. Po raz pierwszy w życiu była w takiej sytuacji. Kompletnie sama w środku szalejącej burzy śnieżnej, do tego na niezbyt dobrze znanym terenie i w zupełnej ciemności. Co ona sobie w ogóle myślała? Powinna przewidywać takie sytuacje, ale do tej pory zawsze ktoś inny za nią wszystko planował.

Poczuła piekące łzy pod powiekami, nie tak to sobie wyobrażała. Z trudem dźwignęła walizki i pochylając się do przodu, żeby stawić jak największy opór wiatrowi, zaczęła brnąć w śniegu. Chyba jeszcze nigdy nie było jej tak zimno, już po przejściu kilku metrów nie potrafiła opanować dygotania. Świeży śnieg okrywał zmarzliny, a ona z trudem wyciągała z zasp nogi, które z każdym krokiem zapadały się głębiej.

Przez ułamek sekundy przeszło jej przez myśl, żeby zapukać do domu, który właśnie minęła. Zanim wyłączyli prąd widziała, że świeci się tam światło. Może pozwoliliby jej przeczekać nawałnicę? Ale już po chwili zrezygnowała z tego pomysłu. Przecież sama nie wpuściłaby w taką noc nikogo obcego do domu. Mocniej chwyciła torby i ruszyła do przodu. Wszystko dookoła chrzęściło od mrozu, niemal czuła jak powietrze drży od zawodzącego wiatru. Kłujące igiełki lodu uderzały ją w twarz, pokrywając ubranie, wciskając się za kołnierz i potęgując wrażenie zimna. Nie miała nawet jak poprawić szalika, bała się, że jeżeli zatrzyma się teraz, nie będzie w stanie ruszyć dalej.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i bardziej wyczuła, niż zobaczyła, drogę w głąb puszczy. Odstawiła torby, zdjęła rękawiczki i zgrabiałymi z zimna rękami wydobyła komórkę. Dotknęła ekranu ale nie zareagował na jej zlodowaciałe palce. Chciało jej się płakać, a właściwie nie płakać, tylko wyć z bezgranicznej rozpaczy i poczucia bezsilności. Chuchnęła kilka razy w zziębnięte ręce i roztarła je energicznie. Mimo że jeszcze przed chwilą była niemal przekonana, że jej płuca zamarzają, a w zlodowaciałym oddechu nie ma odrobiny ciepła, to z ust buchnął ciepły obłoczek pary. Ponownie dotknęła ekranu, który zamigotał bladą poświatą, wybrała latarkę i skierowała strumień światła w miejsce, gdzie spodziewała się zobaczyć drogę.

Stała dokładnie w punkcie, do którego zdążała! I chociaż spod śniegu nie widać było ścieżki, to drzewa rozstępowały się, tworząc szeroką bramę, która zapraszała w głąb lasu. Z tego co pamiętała chata babci była jedyną pobudowaną w samej puszczy. Trzeba było pokonać kolejne kilkaset metrów, żeby dotrzeć do jej siedliska. To była stara leśniczówka, która nigdy nie powinna przejść w prywatne ręce, a jednak stała tam od dziesiątków lat, a Konstancja Woronin była jej jedyną prawowitą właścicielką.

Miłosława ponownie dźwignęła torby i z duszą na ramieniu weszła w tajemniczy mrok kniei. Śniegu tu było zdecydowanie więcej, ale widać, że od dawna nie było odśnieżane, więc przymarzł, tworząc w miarę stabilne podłoże. Mróz skrzypiał pod butami, a oblodzone gałęzie, kołysząc się miarowo w rytm wiatru, wydawały upiorną kakofonię trzasków, wizgów i chrzęstów, przyprawiając Miłkę o szybsze bicie serca.

Kobieta starała się zepchnąć w zakamarki umysłu coraz większy niepokój, próbując zastąpić go powracającymi wspomnieniami

o babci. Miała wrażenie, że im bliżej chaty, tym więcej rzeczy pamięta. Ożywały nie tylko obrazy, kształty, ale też smaki, zapachy, kolory, a nawet dźwięk głosu staruszki. Ale każdy odmienny, złowieszczy odgłos wyrywał ją z tego iluzorycznego kokonu bezpieczeństwa.

Zadrżała, kiedy usłyszała przeciągłe wycie. Nie miała pojęcia czy był to głos psa dobiegający z pobliskich gospodarstw, czy też dochodził z lasu. Pamiętała, jak babcia mówiła, żeby nie odchodzić zbyt daleko od domu, bo w puszczy mieszkają wilki. Może to jeden z nich, nie mogąc znaleźć żeru w zamarzniętym lesie, zwietrzył jej zapach?

Mimo zmęczenia przyspieszyła kroku, a wszystkie jej strachy powróciły w dwójnasób. Dlaczego do domu babci nie prowadzą żadne ślady? Czy wiedząc, jaka będzie pogoda, zaopatrzyła się w zapasy i od kilku dni nie wychodziła na zewnątrz, czy też może wyjechała gdzieś i Miłosława zastanie zamkniętą na głucho chatę? Nieustannie prześladowała ją też najgorsza ze wszystkich, paraliżująca, wprawiająca w przerażenie i dławiąca oddech myśl – co jeżeli pomyliła drogę i brnie w lodowaty gąszcz puszczy?

Ledwie widoczny błysk światła w jednej chwili odsunął na bok ponure myśli, mobilizując resztki sił. To musiał być ten dom. Poczuła niewymowną ulgę. Nawet jeżeli babcia uzna ją za nieproszonego gościa, to przecież nie wyrzuci jej na mróz. Jeszcze tylko kilka kroków i będzie mogła się schronić w ciepłym wnętrzu, osuszyć i przeczekać nawałnicę.

* * *

Miłosława stanęła przed zaśnieżonym podwórkiem. Tu, podobnie jak przez całą drogę, nie było widać żadnych śladów

odgarniania śniegu. Najwyraźniej staruszka rzeczywiście postanowiła przeczekać zawieruchę nie wychodząc z domu. Podziękowała w duchu, że ktoś zostawił uchyloną furtkę, przy takim mrozie i ilości opadów, nie byłaby w stanie jej przepchnąć, a nie wyobrażała sobie przechodzenia przez płot.

Niewiele widziała w bladej poświacie bijącej z okna. Jedynie zarysy drewnianej chałupy, która wydawała jej się dużo mniejsza, niż ta z jej dziecięcych wspomnień.

Odstawiła walizkę na odgarniętym ze śniegu, kamiennym ganku i zapukała do drzwi. Przez chwilę zdawało jej się, że słyszy w domu jakiś stukot, ale równie dobrze mógł to być odgłos gałęzi ocierających się o dach. Odczekała kilka sekund, które wlekły się w nieskończoność i załomotała głośniej, boleśnie obijając sobie kostki zmarzniętych palców. Znowu zaczął ją ogarniać strach, a jeżeli babcia nie będzie jej chciała wpuścić do środka albo co gorsza sprzedała leśniczówkę i dawno już tu nie mieszka?

Zdesperowana, nie czekając na reakcję gospodyni, nacisnęła klamkę. Z wnętrza buchnęło przyjemne, ciepłe powietrze, pachnące mieszanką ziół, szczapami sosnowego drewna i balsamicznym aromatem, którego nie potrafiła rozpoznać. Z głośnym westchnieniem ulgi wniosła walizki i zamknęła drzwi. Zaszurała butami o wycieraczkę i wysunęła się z ciasnej sionki w stronę migoczącego światła.

– Dobry wieczór – przywitała się nieśmiało.

Ale odpowiedział jej tylko wiatr wyjący za oknem.

Zgrabiałymi palcami rozsunęła zamki butów i rozpięła guziki płaszcza, który powiesiła na drewnianym kołku przy wejściu.

– Dobry wieczór! – Powtórzyła mocniejszym głosem. – Jest tu kto?! – Rozglądała się niepewnie.

Podskoczyła przerażona, kiedy gałąź jedliny stuknęła w okno. Ale poza dźwiękami dochodzącymi z zewnątrz, dom wypełniała idealna cisza. Niewiele widać było w półmroku panującym w chacie, ale wydawało jej się, że wszystko wygląda tak, jak zapamiętała to z dzieciństwa.

Z sieni, spełniającej rolę wiatrołapu, wchodziło się wprost do jasnej, obszernej kuchni, stanowiącej zarazem salon i sypialnię w jednym. Tu stał piec, na którym babcia, bez względu na porę roku i pogodę za oknem, rozpalała ogień i gotowała posiłki, a który zimą ogrzewał całe pomieszczenie i przylegającą do niego niewielką łazienkę. Tuż obok była mała spiżarnia z zejściem do piwniczki, gdzie przechowywano warzywa, owoce, kiszone ogórki i kapustę.

Miłosława jeszcze raz rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby chciała upewnić się, że na pewno jest we właściwym miejscu. Ze zdumieniem skonstatowała, że chata jest jednoizbowa, to jakoś wyparła ze swojej pamięci, ale wszystko pozostałe utwierdzało ją, że babcia nadal jest właścicielką domu.

Do pieca przylegał duży, przeszklony, drewniany kredens, w którym trzymano wszystkie garnki, naczynia, sztućce i przyrządy niezbędne w kuchni, a na najwyższej półce wyłożonej lnianą ściereczką, w magiczny sposób pojawiał się zawsze pyszny placek, którego słodki zapach wypełniał całą kuchnię. Obok zamontowano zlew z dostawionym roboczym blatem, nad którym, na haczykach, wisiały wyszorowane do białości żeliwne patelnie. Na środku pomieszczenia ustawiono ciężkie, dębowe krzesła i stół, nakryty lnianą, haftowaną serwetą, na którym teraz stał samowar i lekko zakopcona lampa naftowa oświetlająca izbę. W rogu upchnięto trzyskrzydłową szafę na ubrania, a po obu stronach

pokoju ustawiono dwa drewniane łóżka nakryte wełnianymi, pasiastymi kapami. W pomieszczeniu był jeszcze miękki fotel, mosiężna lampa i mały nocny stolik ustawiony obok szerszego leża. Całość uzupełniały dziesiątki świętych obrazów, poprzetykanych wiązkami ziół i kwietnych wianków.

– Babciu! Jesteś tu?! – wbrew logice spróbowała raz jeszcze.

Po raz kolejny odpowiedziała jej cisza, a Miłka znowu poczuła nawracającą falę lęku i niepewności. Zrezygnowana podeszła jeszcze kilka kroków i dojrzała zapisaną kartkę leżącą na środku stołu. Drżącą ręką podniosła ją w stronę migoczącego światła. To na pewno było pismo babci! Tylko ona stawiała tak równe, wręcz eleganckie litery, przypominające przedwojenną kaligrafię:

Oleńko Najmilejsza!

Moja radość, że w końcu przybyłaś do swojego domu jest niepomierna. Wybacz, że nie mogę przywitać Ciebie osobiście, ale rozgość się, dziecko. W kredensie masz kolację, samowar jest nastawiony, a jakbyś zmarzła to nalewka lipowo-malinowa jest w spiżarce. I do pieca podłóż przed spaniem, żeby nie wygasło.

Babcia Konstancja

Miłka ciężko usiadła na krześle, czując jak schodzi z niej całe napięcie. Spokój, jaki poczuła po przeczytaniu tych kilku zdań nie mógł się równać z niczym, czego doświadczyła w ostatnich miesiącach. Po raz pierwszy od wielu długich tygodni, na jej twarzy zagościł uśmiech.

Otworzyła drzwiczki kredensu. Tam gdzie zawsze, na tacy, stał talerz z bułką drożdżową, obok miód, dżem malinowy, pachnący chleb, smalczyk w gliniaku, a w słoiku kiszone ogórki. Poczuła

jak ślinka napływa jej do ust, dołożyła na tacę kubek malowany w dziewanny i poniosła ją na stół.

Samowar był gorący, podniosła imbryczek i nalała sobie czarnego jak smoła naparu. Pamiętała, że babcia sama robiła specjalną mieszankę, której podstawą była sprowadzana z Rosji herbata Ivan Czaj. Dolała wody do kubka i powąchała, to był jeden z zapachów jej dzieciństwa. Herbata pachniała lasem, poziomkami, malinami i czymś, co przypominało skórkę pomarańczową. Miłka dołożyła sporą łyżkę konfitur z dzikiej róży, zamieszała i dopiero wtedy wzięła łyk gorącego napoju. W ustach poczuła tak lubianą eksplozję smaku, a po jej ciele rozeszło się błogie ciepło. Zachichotała na samą myśl o minie matki, gdyby ta zobaczyła, że wpakowała konfitury do kubka, tak jak to zawsze robiły z babcią, zamiast ułożyć je stosownie na spodeczku.

Miłosława kładąc się do ciepłego, pachnącego rumiankiem łóżka, była naprawdę szczęśliwa. Ostatni raz taki błogostan i lekkość czuła właśnie w tej chacie jako mała dziewczynka. Zasypiając wpatrywała się we wzory na kolorowych, tkanych kilimach, zawieszonych przy ścianie łóżka, czując jakby wróciła z dalekiej podróży.

Rozdział III

Miłosława przetarła zaspane oczy, musiało być już po ósmej, bo w izbie było zupełnie jasno. Usiadła i rozejrzała się z zaciekawieniem. Babci łóżko nadal stało równo zasłane, więc albo już wyszła, albo została u kogoś na noc, co biorąc pod uwagę wczorajsze warunki pogodowe, było wielce prawdopodobne.

Z miejsca, w którym leżała, widziała tylko kawałek nieba i korony drzew tkwiące nieruchomo w zwartym szpalerze. Tyle wystarczyło, żeby zyskała pewność, iż śnieżyca ucichła. Zadowolona wyskoczyła z pościeli i podbiegła do pieca. Ostrożnie otworzyła żeliwne drzwiczki i z niedowierzaniem wpatrywała się w buzujący ogień. Miała nadzieję, że po nocy zostało trochę żaru, który da się jeszcze rozpalić, ale w palenisku płonęły świeżo nałożone szczapy. Czyżby babcia jednak wróciła?

– Babciu, jesteś?! – Rozejrzała się uważnie po izbie, chociaż trudno tu było czegoś nie zauważyć.

Boso podeszła do okna wychodzącego na ganek, ale po wczorajszych zawiejach nie było widać żadnych śladów, nawet odcisków jej stóp.

Odwróciła się, a jej wzrok ponownie przykuły malowidła. W dziennym świetle, oświetlone promieniami słonecznymi pełzającymi po drewnianej ścianie, prezentowały się w pełnej krasie, mamiąc złoceniami i przykuwając wzrok patrzących.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nie są to obrazy namalowane w kulcie i tradycji rzymskokatolickiej. Kiedy była dzieckiem, nie zwracała na to uwagi, wiedziała tylko, że na ścianach

jest Matka Boska, Jezus Chrystus i całe mnóstwo innych świętych, których znaczenia w historii Kościoła nie znała. Czasami babcia zdejmowała jakiś obrazek i opowiadała jej o zasługach i cudach uczynionych przez tego, kto się na nim znajdował. Teraz z zaskoczeniem przyglądała się wiszącym ikonom i była pewna, że ma do czynienia ze wschodnią sztuką sakralną.

Malowidła nie były oprawne w ramy, a sportretowane twarze miały lekko wydłużone i mocno konturowane ciemnymi liniami rysy. Większość ikon była bogato zdobiona, kilka wręcz ociekało złotem, znajdowały się w różnym stanie i chyba pochodziły z różnych okresów. Od starych, z wypłowiałymi postaciami, poobdzieranymi a nawet osmolonymi brzegami, do zupełnie nowych, błyszczących zdobieniami, jaskrawymi kolorami, a nawet inkrustowanych kamieniami szlachetnymi lub czymś co je przypominało. Większość namalowana na deskach, ale były też i takie, które wyglądały jak mosiężne i srebrne odlewy.

Patrząc na ten zbiór Miłosława przypominała sobie zasłyszane w dzieciństwie imiona. Rozpoznawała Mikołaja Cudotwórcę, Pantalejmona Uzdrowiciela, Proroka Eliasza czy Katarzynę Aleksandryjską. Jak przez mgłę powracały opowiadania babci, która często zdejmowała ze ściany jakiś obrazek i snuła niesamowite historie o dziejach świętego, jego zasługach i poczynionych cudach. Tylko wówczas mała Miłka nie zdawała sobie sprawy, że na świecie są różne wyznania, a ikony babci Konstancji przedstawiają czczonych w obrządku prawosławnym.

Było jeszcze coś, co niepokoiło ją, kiedy spoglądała na ten zbiór. Wydawało jej się, że brakuje w nim jakiegoś ważnego elementu, o którym często wspominała babcia, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, o jaki obraz chodzi.

Podrzuciła jeszcze kilka polan do pieca i zamknęła się w łazience. Potrzebowała gorącego prysznica, który spłucze z niej brud podróży, wczorajszy strach i niepewność. Wieczorem nie miała już siły na kąpiel, a brak prądu unieruchomił pompę, woda ledwie kapała z kranu, umyła więc tylko zęby i ochlapała buzię. Teraz czuła jak wraz z ciepłymi strugami schodzi z niej całe napięcie, a przepełnia ją radość i beztroska, zupełnie jakby znowu była małą dziewczynką, która przyjechała do babci na wakacje.

Zakręciła wodę i stanęła przed zaparowanym lustrem, zawahała się, a potem jednym ruchem starła osadzoną wilgoć.

Dawno nie patrzyła w swoje odbicie. Unikała luster, nie spoglądała nawet w szyby, jakby chciała zapomnieć, że ma jakąś fizyczność. Na początku znajomości Leszek mawiał, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie, a jej imię świadczy, że Bóg stworzył ją do miłowania.

Teraz patrzyła na nią zmęczona, poszarzała twarz z podkrążonymi oczami i pierwszymi zmarszczkami w kącikach ust. Miłka nie była pięknością, chociaż koleżanki ze studiów twierdziły, że ma to „coś", co sprawia, iż mężczyźni lgną do niej jak muchy do miodu. Była wysoka, szczupła, ale bardzo kobieca, z pełnym biustem, wyraźnie zaznaczoną talią i niebotycznie długimi, zgrabnymi nogami. Nie lubiła koloru swoich włosów, uważała, że są mysie. Leszek twierdził, że przypominają lśniącą stal, uwielbiał, kiedy je rozpuszczała a loki spadały na jej nagie piersi. Oczy miała w podobnym odcieniu, szare, niczym gołębie skrzydła, otoczone czarnymi, gęstymi rzęsami, wyglądającymi jakby przed chwilą pociągnęła je tuszem. Mocno zarysowane kości policzkowe, rzymski nos i lekko wysunięty podbródek dopełniały całości.

Niezadowolona z tego co ujrzała, ściągnęła usta, co dodało jej twarzy surowości i kilku kolejnych lat. Przeczesała wciąż wilgotne włosy i z niechęcią odwróciła wzrok od swojego odbicia. Miała wrażenie, że z lustra spogląda na nią zupełnie obca osoba.

Szybko wciągnęła dżinsy, narzuciła gruby, wełniany golf i weszła do izby. Najwyższa pora zorganizować jakieś śniadanie. Wyjęła z szafki całkiem pokaźne resztki wczorajszej kolacji i nalała sobie esencji herbacianej. Wprawdzie nie potrafiła nastawić samowara, ale czajnik z gorącą wodą z powodzeniem go zastąpi.

* * *

Piotrowa zamknęła kosz i szczelnie obłożyła go wełnianym kilimkiem, bała się, że przy takiej temperaturze wszystko przemarznie. Przez chwilę zastanawiała się, czy jeszcze czego nie dorzucić, ale nie bardzo wiedziała, na co dziewczyna mogłaby mieć ochotę? Letnikom gotowała regionalne potrawy, a to babkę ziemniaczaną, a to kartacze, a to pierogi, pielmieni, czy świeżutką rybkę, ale teraz zupełnie nie miała na to czasu. Wzięła więc to, co było pod ręką: pół bochenka chleba, dwa pętka kiełbaski, gomułkę sera, miód, dżem, jajka i litr mleka, a wszystko swojskie, pachnące i świeżutkie. Po zastanowieniu dołożyła jeszcze butelkę jarzębiaku na rozgrzewkę i rozpoczęła długi proces ubierania.

Tegoroczna zima postanowiła przypomnieć swoje najlepsze lata i już od prawie dwóch tygodni srożyła się, obficie sypiąc śniegiem i trzaskając mrozem. Wczorajsze śnieżyce i temperatura, która w nocy spadła do minus dwudziestu czterech stopni, przywoływały dawne wspomnienia i przypominały, dlaczego Suwalszczyzna uważana jest za polski biegun zimna. Wprawdzie

dzisiejszy poranek przywitał się słońcem, jednak mróz nie odpuszczał i nadal utrzymywało się powyżej minus jedenastu kresek. Dlatego Piotrowa wkładała na siebie kolejne warstwy odzienia, w końcu czekał ją ponad półtorakilometrowy marsz na drugi kraniec wioski.

Na grube rajstopy założyła ocieplane legginsy, nakrywając całość ciepłą, długą spódnicą. Watowaną kurtkę uzupełniła puchową kamizelką, głowę skryła pod futrzaną uszanką i dodatkowo okutała się wełnianą, kraciastą chustą. Jeszcze tylko śniegowce i była gotowa do drogi. Z niepokojem spojrzała na zegarek, dochodziła ósma rano, miała nadzieję, że nie jest za późno i przyjezdna jakoś przetrzymała tę noc.

Powinna pojechać już wczoraj, kiedy tylko zadzwoniła Franka, ale nie dość, że wszystkie drogi w tym końcu wsi były zasypane, to wiatr zerwał linię energetyczną, a szalejąca śnieżyca w żaden sposób nie pozwoliłaby jej dotrzeć do chaty Woroninowej. Zresztą, tak po prawdzie, to nawet nie była pewna czy to rzeczywiście Olga przyjechała. Skoro wysiadła w tamtym końcu wsi, to równie dobrze mogła odwiedzać Gregorewiczów, Bożęckich albo Tamułow.

Mimo to Piotrowa była niemal pewna, że to wnuczka Konstancji, dlatego zerwała się skoro świt i z ulgą stwierdziła, że zawierucha ustała. Ale najpierw musiała zrobić obrządek, nakarmić zwierzęta, bydlątka podoić, a dopiero potem wsiadła do auta. Kilka niemrawych obrotów silnika zakończonych krótkim „kaszlnięciem", utwierdziło ją w przekonaniu, że jak najszybciej powinna kupić nowy akumulator. Auto może jeszcze kilka lat pojeździ, ale zasobnik energii musi wymienić natychmiast.

Pozostała jej piesza wędrówka, na szczęście sąsiad już przejechał drogę swoim pługiem, więc przynajmniej lżej będzie iść.

Podrzuciła drewna do pieca, żeby nie wygasło i coby nie wyziębić chałupy, sprawdziła czy dobrze zamknęła oborę, dźwignęła kosz i z ciężkim westchnieniem pomaszerowała w stronę Uroczyska.

* * *

Miłka skończyła smarować chleb, kiedy usłyszała chrobot klucza przekręcanego w zamku.

Babcia wróciła! – to była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy. Zerwała się z krzesła i uradowana pobiegła do sieni. Niemal słyszała jak ze wzruszenia wali jej serce, a drżące ze zdenerwowania dłonie ukryła w przepastnych kieszeniach swetra. Przygryzając wargi, w napięciu, wpatrywała się w wejście. Miała tak wiele pytań…

Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem, wpuszczając do chaty kłąb mroźnego, szczypiącego powietrza. W nagle oświetlonej słońcem sieni stanęła pękata, niewysoka, z lekka zaszroniona postać z wielkim koszem i natychmiast zaczęła otrzepywać się ze śniegu. Zanim zamknęła drzwi, widać było wąską, lodową ścieżkę, którą się przedzierała. Biała pokrywa sięgała niemal do wysokości ud, a sople zwisające z oblodzonego dachu skrzyły się w bladych promieniach słońca.

Miłosława patrzyła na przybyłą w napięciu. Nie tak zapamiętała babcię. Z zakamarków jej pamięci wyłaniała się chuda, koścista, postawna kobieta z rozmarzonymi szarymi oczami i siwiejącym warkoczem spinanym w spiralny kok na karku. Ale może dzieci inaczej widzą dorosłych? Dla nich każdy jest duży, w końcu to zupełnie inna perspektywa. Minęło tyle lat, nie mogła

wierzyć mglistym wspomnieniom małej dziewczynki. Poza tym, kto inny otworzyłby drzwi własnym kluczem?

– Pochwalony! – Kobiecina skończyła się otrzepywać, poszukała wzrokiem gospodyni i dźwignęła wiklinowy kosz. – Widzę, że niepotrzebnie się zamartwiałam – w jej głosie zabrzmiała ulga. – Bogu dziękować, że klucz znalazłaś i w piecu napaliłaś, bo nie wiem, jakbyś tę noc przetrwała. Weź to ode mnie. Trochę prowiantu ci przyniosłam, bo ze dwa dni nic tu pewno jeszcze nie dojedzie – sapnęła, podając jej kosz.

– Dzień dobry – przywitała się nieśmiało Miłka, nie bardzo wiedząc, co powinna odpowiedzieć na takie pozdrowienie.

Postawiła ciężki koszyk na stole i z zainteresowaniem przyglądała się, jak gość zdejmuje z siebie kolejne warstwy odzieży.

Dopiero kiedy kobieta odwiesiła kurtkę i odstawiła buty, mogła jej się przyjrzeć w pełni. Nieznajoma miała okrągłą, pooraną zmarszczkami, a teraz spoconą i zaczerwienioną od mrozu i wysiłku twarz. Małe oczy patrzyły z uwagą i przyjaźnią, a wąskie usta zdobił pokrzepiający uśmiech. Musiała mieć trochę więcej niż siedemdziesiąt lat, była pulchną, korpulentną osobą, roztaczającą dookoła aurę spokoju i ciepła. Siwe włosy, obcięte na krótko i starannie zaczesane za uszy, burzyły trochę ten „babciny" wizerunek, dodając jej charakteru i stanowczości.

– No, co tak patrzysz, dziecko? Sabina Ostapowicz jestem, ale wszyscy do mnie, po moimi zmarłym mężu, Piotrowa mówią. Na przeciwległym skraju Jaśk mieszkam. – Machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Jakej wczoraj Franka do mnie zatelefonowała, od razu wiedziałam, że o ciebie chodzi. Konstancja ciągle o tobie mówiła, nie mogła się doczekać, kiedy przyjedziesz. Od jakiegoś czasu powtarzała, że to niezadługo już będzie… – A widząc

zdezorientowaną minę Miłki, przywołała wspomnienie jej matki. – Dorosłaś, ale wcale się nie zmieniłaś. Nie jesteś podobna do Tamary, w babcię się wdałaś. Kolor oczu i włosów masz jak Konstancja za młodu – lustrowała ją uważnie od stóp do głów. – Pewnie nie pamiętasz, ale jak tu mieszkałaś, to często się widywałyśmy. Nawet ciociu do mnie mówiłaś. Ale jakże ty w tym starym piecu rozpaliłaś? Toż to cug taki kiepski… – paplała.

Miłka w głowie miała zupełną pustkę, mimo szczerych chęci nie potrafiła przypomnieć sobie pani Sabiny, ale jej świeżo obudzone wspomnienia nadal były fragmentaryczne i miały sporo luk. Przynajmniej zyskała pewność, że kobieta nie jest jej babcią. Nie wiedzieć dlaczego, poczuła ulgę i zeszło z niej całe napięcie.

– Nie poznaję – zgodziła się z przedmówczynią – ale w piecu nie paliłam. Napalone było.

– Cooo?! Jak to napalone?! – Przybyła patrzyła na nią oczami okrągłymi jak pięciozłotówki. – A niby kto ci napalił?!

– Babcia. Najwyraźniej była gdzieś umówiona i zanocowała poza domem, ale zostawiła niezamknięte drzwi, rozpalony piec i naszykowaną kolację.

Miłka z zaciekawieniem przyglądała się, jak na jej słowa kobieta najpierw zrobiła się blada jak ściana, a potem z głośnym świstem wydobywającym się z piersi z impetem usiadła na łóżku, aż zatrzeszczało.

– Co ty pleciesz, dziewczyno?! – Wysapała, ciężko łapiąc powietrze.

– Źle się pani czuje? – zaniepokoiła się Miłosława. – Podać pani wody?

– Wody? – powtórzyła zdumiona. – Nie chcę wody… Powiedz mi jak tu weszłaś i co zastałaś?! – Zażądała stanowczo.

Miłka znowu poczuła niepokój. Miała ochotę powiedzieć tej dziwnej kobiecie, żeby sobie poszła, ale nie była u siebie, a z jej opowiadania wynikało, że przyjaźni się z babcią. Westchnęła ciężko. Uciekła od świata, gdzie ciągle ktoś jej coś kazał, a tu na „dzień dobry", znowu nią komenderują.

– Już mówiłam. Babcia pewnie wiedziała, że przyjadę, bo wysłałam do niej list, tylko prawdopodobnie jej odpowiedź nie dotarła do mnie na czas. Chata była otwarta, w środku cieplutko, kolacja przygotowana, a na stole leżała kartka… – Widziała jak na twarzy jej rozmówczyni maluje się niedowierzanie pomieszane z niepewnością i strachem.

– Jaka kartka? – wyszeptała zbielałymi wargami.

– No mówię przecież, że list od babci – zniecierpliwiła się Miłka.

– Pokaż! – w głosie starszej pani dźwięczały nutki paniki.

– Już… – Miłosława rozglądała się bezradnie, klepiąc się po kieszeniach i próbując przypomnieć sobie, gdzie go odłożyła. Głowę by dała, że został na stole, ale tam śladu po nim nie było. – Nie wiem gdzie się zapodział…

– Wstyd! – w głosie Piotrowej dźwięczało zgorszenie. – Z takich spraw sobie żartować?! To nie po chrześcijańsku jest! Jak cię ta Tamara wychowała…

– O co pani chodzi?! – Miłka miała dość tej wrzeszczącej i szarogęszącej się baby.

– Jeszcze się pytasz o co?! – Kobieta była święcie oburzona. – Żeby drwić ze śmierci własnej babki?! Toż się w głowie nie mieści…

–